Warszawa, Sobota, dnia 16. Października 1909. roku. № 15.

PRZEGLĄD KRYTYKI
ARTYSTYCZNEJ I LITERACKIEJ

DWUTYGODNIK

Wychodzi w dniach: pierwszym i szesnastym każdego miesiąca
pod kierunkiem **Józefa Rozprzy-Krobickiego.**

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 125.

Administracja pisma przypomina, że czas odnowić prenumeratę, zarazem prosi Pp. księgarzy o wyrównanie rachunku za pierwsze półrocze b. r.

Właściciel i kierownik pisma przyjmuje codziennie w sprawach redakcyjnych w godzinach pomiędzy 5-ą a 6-ą po południu.

Treść numeru:

Dział I-y: **S.** — „Korrespondencya" — (Artykul nadesłany do poznańskiego „Tygodnika literackiego" z przed sześćdziesięciusiedmiu lat).

Dział II-gi: **Władysław Korycki.**—„Humor Słowackiego".

Dział III-ci: **Stefan Gacki.**—„Wieża z kości słoniowej"—(Powieść Tadeusza Jaroszyńskiego).

Dział IV-ty: **Wincenty Rzymowski.**—„Zofia Rygier-Nałkowska"—(W powieści „Rówieśnice").

Mieczysław Sterling. — „Bazylissa Teofanu" Tadeusza Micińskiego.

Bez komentarzy (Przedruki luźnych zdań). — Z fantazji literackiej **Jana Kleczyńskiego**, zamieszczonej w warszawskim miesięczniku „Sfinks" p. t. „Marzanna".

Wzmianki kronikarskie — Jubileusz „Tygodnika Illustrowanego"—Orkiestra Fitelberga—Teatr Zalewskiego—Manewr Hellera — Dyrektor Lentz — Feliks Nowowiejski — „Judyta" w Krakowie.

Wzmianki bibliograficzne.

* * *

Pośrednictwa w sprzedaży pojedyńczych numerów i w przyjmowaniu prenumeraty podjęły się łaskawie następujące księgarnie warszawskie: „Gebethner i Wolff"— ul. Zgoda № 12 i Filia — ul. Krak. Przedmieście № 15; „E. Wende i S-ka" — ul. Krak. Przedmieście № 9; „Kazimierz Idzikowski"—ul. Nowy-Świat № 21; „Jan Fiszer"—ul. Nowy-Świat № 9; „H. Centnerszwer i S-ka"—ul. Marszałkowska № 143; „Księgarnia Powszechna"—ul. Marszałkowska № 139; „J. Lisowska"—ul. Marszałkowska № 101; „M. Borkowski" — ul. Marszałkowska № 97; „St. Sadowski"—ul. Złota № 1.

. Autor podpisany literą: S.

„Korrespondencya".

(Artykul nadeslany do poznańskiego „Tygodnika literackiego" z przed lat sześćdziesięciu siedmiu).

„Zaniedbanie się w mowie krajowej, prowadzi do jej lekceważenia, do zguby narodowości;" napisał Jan Śniadecki już dawno. Prawda ta objawia się nam więcej od czasu znienawidzenia prawideł *krępujących geniusze*. Gromiłby Kopczyński, a rozrzewniał żalem Brodziński, patrząc na męczeństwa języka i smaku w naszej nowej polskiej literaturze; boleliby obadwa nad wykrywającemi się dążnościami. Ja przestanę dzisiaj na przesłaniu WWMĆPanu po kilka wyjątków z książek, które mi wpadły w ręce, w nadziei, że je za klęski wspólnie zemną uznając, w piśmie swojem wystawisz, nie dla autorów, bo ci się pewnie nie poprawią, ale dla pociechy niezepsutych czytelników, że niewszyscy uwzięli się na smak i język narodowy. Aby zaś wolniej było zataić imię, chcę WWMĆPanu wyznanie wiary mojej literackiej, w życzeniach następujących określić:

Niech każdy pisarz umie dobrze swój język; niech w nim myśli, a obejdzie się bez wyrazów obcych, tułackich, niepotrzebnych i znajdzie, że mu polski wystarcza.

Niech sam rozumie, co pisze; niech czuje naturalnie, a będzie zrozumianym, wyrażenie pojętem, czucie podzielonem.

Jeżeli wyrażenie w obcym języku znajduje pięknem, a nie umie go oddać rzetelnie w polskim, niech obce położy w nawiasie, określi, a nie zaraża niezgrabnemi nowościami, nie kazi języka narodowego.

Niech nie płodzi w swoim i nie przenosi z obcych myśli prostackich, rubasznych, często obrażających przyzwoitość. Grzechem jest oswajać z niemi czytelników.

Niech nie zataja win przodków, ale niech na nich nie przeostrza tępego dowcipu, a nie zamilcza zalet, bo sprawiedliwy rodak osądzi, że dla nieprzyjaciół pisze.

Niech w poezyi zachowa wzgląd na miarę, szyk, dobór słów, ich brzmienia i powaby harmonii; bo przy giętkości naszego języka, podobne opuszczenia uważają się za gesta głuchoniemego, ze źle dobieranym wrzaskiem. Bez harmonii, poezya stałaby się dziecinną maszkaradą myśli.

Niech dobrego smaku nie obraża: niech wzdęcia, szumu, przesady, nie ma za wzniosłość; poziomości, płaskości za lubą prostotę. Niech nie ubiega się za oryginalnością, samorodnością, nie troszcząc się bynajmniej, czy słodki owoc, czy też szalej lub pindyryndę wyda. Niech nie grzeszy chęcia przepełniania obrazami, niebaczny, że w nich zbytek jest szkodliwszy od niedostatku. Dobrzy pisarze są bardzo w nich oszczędni: jakże oburzać muszą ci, co jakby częstochowskie, jarmarczne boomazy, na pięknem tle, na freskach Michała Angelo przylepiają. Są to dzicy, co sobie dziurawią usta, nos, uszy, aby zawiesić dętki, piórka i świecące blaszki. Nie chcę tu robić przytoczeń, gdyż musiałyby więcej zajmować miejsca; wypisuję tylko przykłady usiłowań, ku utworzeniu dla nas Polaków, nowego słownika, nowej gramatyki, nowego stylu i smaku.

Pan Trentowski w liście do Redakcyi Orędownika napisał: „Macie w waszem piśmie trzech najlepszych belletrystów: Czajkowskiego, Wojcickiego i Kraszewskiego i t. d. Obaczymy więc z kolei, jak piszą po polsku.

Czajkowski (w licznych dziełach):

„Wilk powywa—dzwony homonią — tabuny jazdy szłapią — czajki kihiczą — pastownia—oberemek—stebnik—zaścieżka – switka—Wołokita – łotok – posołowiały— poprychując—palamarować—oszołomiony – wyłabudać—kuszcze—zastrzęgać — palanica—czerepka—przysadkowaty—nizać językiem—dziękczyć—łają po moskiewsku w Oyca matkę—ubzdurzyło się w głowie—oczyma do siebie łypać—od kilku miesięcy odiechana Synem—na twarzy zabolała—kilka huzarów—trapaka wycinał— pójść w boruki z niedźwiedziem—kopytami ziemię kolupią—jak buchaj na całe gardło ryczy — holubiec — zadrumkać — uciąć w przysiudy metki — rozczumani—gra w sopiłkę—zamekczył—kmitował Monastyr — ciężko się wlabudać — Salamucha — hasać (koń hasa, wiatr hasa, kozak hasa i t. p, wszystko hasa) — wąsem poczwanić – jeździec zgrabnie—panoszył się posławą—pobożny jak ogier w tabunie.“

Mnie się zdaje, że gdyby p. Czajkowski (Michał) był proszony przedstawić nam obraz Apolina Belwederskiego, pewnie by go ustroił w kołpak, krótką katankę, fałdziste szarawary, dał mu nachajkę w rękę i wsadził na wronego konia.

Wojcicki (w Gawędach):

„Garszć — Samsiad — chomąta ze dzwonkami — Potocki znając zuchwałość i odwagę tego hajdamaki, (później) hajdamachy obskoczyli dwór cały“—Pana Wojcickiego upodobane wyrazy i opisy dodatkowe zawsze jedne. – „Szabla w skórce wężowej—u bótów cholewy zawijane—hajdawery—wąs sumiasty“—oto obraz szlachcica polskiego, kreślony przez Wojcickiego. U niego szlachta łyka, pije, wąsów podciera, rąbie się, za łby wodzi, kanczugami chłoszcze. — Wszędzie drobna szlachta (ta najlepsza część szlachty) z małych posiadłości wyszydzona, na których to, gdy pies usiędzie, ogon drugiej dziedziny dosięgnie, wszędzie wyśmiewana, a nigdzie z męztwa, szczerości i miłości ojczyzny niepochwalona!!!

Kraszewski (Obrazek, Wieczór w czarnym lesie, Witoloraуda).

„Zerkał oczami—zerkał pod stół—Szlachcic jam sobie—poszablankować—nos ów olbrzymi, nieporuszony, milczący stoiczny? — opończa milcząca — pokorna — P. Konrad milczący na oko zadumany—zowąc go kiszką—i pojść spać legnąć sobie.—

„Szyderskim śmiechem do siebie gadali, i pazurami sobie wskazywali —
„Jak gdyby matki nieśmiertelnej wzywał, A czasem ludu prostemu zazdrościł.“—
„Jak kazała, tak zrobili, Swaty w nęckę gęś wsadzili, Dziękowali i sykali—
„Wsiedli i pojechali.—
„Król klaczy swojej poznał głos miłosny (?), Król gniewem płonąc porwał się od stoła—
„Ja po niej (klaczy) będę do mej śmierci płakał—
„Cóż ty chcesz koniu za twoje usługi—Nic o mój panie! chciałbym raz tylko—
„Swojego rodu klacz odwiedzić cudną.“

Filozof p. Trentowski, wynosząc tych trzech belletrystów na stopień najwyższy, pewnie nam ich pisma na wzór poleca. Ja w nich nie znajdę upodobania, bo „nie nabyłem mądrości *myslowej*, a może być, żem w mądrości *zmysłowej* lub *umysłowej utonął*.

Zajrzyjmy do nienajlepszych według p. Trentowskiego belletrystów. Oto jak pisze autor..... Agai Hana:

„Xiężowej szaty—za cztery dnie—Ojcowi gorszko—żaby kumkają — koście wiadomoście—mój synie—ona mamczyła—poczwałował z kopyta—za niemi koniem poskoczył — dzikę piosnkę — niebo się wierci — strach mi brał – w jej domie—

melszpasy—ptasiowe ciasto—siekaniniem—zagważdżany—uśmiechnął się twarzą — drżał barkami—serce mu dygotało—jęliśmy umierać w szańcach — czernieje się na jej czole—bycze karki—drży ramionami—nie taki mąż przystoil tobie—tam gdzie trza było - a on wwiercił się głębiej w dumę, niż słowa Maryny—kto jeszcze zdoła trzymać szable, jak zazwyczaj, bez omdlewań bojaźni w palcach, bez dławiań rospaczy w około rękojeści—W. Kniaź Dymitr legł pod żelazem zdrajców, ależ jam i syn mój zostali—na pierzach wiatrów przyleciały do mnie szelesty, które są gońcami tententów."

Nie będę ja już czekał tententów i przed szelestami uciekam do autora Balladyny, Mazepy etc.

„Bogdaj piorunem napoły pożerać.—Wściekłem się jako brytan uwiązany—
„Różanych ustek perełkami świecił--
„*Kirkor:* „O! biedny kwiatku! na toż ty się kwiecił, By cię na krzyżu ćwiekami przybito!
„*Wojewoda:* „A to mój syn zastąpi ją tu przy Asindzce,
„Pójdę tymczasem z wieży zajrzeć na gościńce,
„Czy się król nie toczy po drodze lipowej,
„Zbigniewie! atentuj się waść kasztelanowej.
„*Kasztelanowa:* „Waść przyjeżdżasz z Padwy?
„*Zbigniew:* „Nie Mościa Dobrodziko, już z wojska.
„*Kasztelanowa:* . . . . do prawdy?"

Otwórzmy noworocznik jaki—Ziewonia... w niej pieśń o Henryku Pobożnym, na przykład:

„A książe Henryk wyruszał z Lignice,
„Klęczał i modły słał k' Boga rodzice.
„Henryk: szeroko szczęk się rozległ stali,
„Długa kopija wrogów o ziem wali."

Gdybym nie był *oszołomiony oberemkiem* tylu piękności i miał wystarczającą siłę do przeglądania pism nowego smaku i języka, mógłbym wiele jeszcze *wyłabudać*, ale że moja literacka *sobistość* niewystarcza na ocenienie *przysobistości* autorów teraźniejszych, poradzę się wielkiego krytyka Grabowskiego. Ten unosi się nad Exercycyami Olizarowskiego; czytamy więc:

„już połowa Maju,
„A ty nie myślisz nic o korowaju?"
Młodzi znów rzekli:
„Powiedzcie ojcze, z kąd wy wywlekli
„Złą przepowiednią? —
„dziewka odrzekła
„I żalem chwiana łzami ociekła,
„Odeszła — —
„wrogi zabrali.
. . . .
„Może we dwoje myby nie dali.

„Słońce na obłok kwietniowy usiadło,
„I zajechało w strony Poczajowa,
„Ikwy w zygzakach idące zwierciadło
„Pod Bożą górą złapawszy twarz słońca,
„Słupem promieni strzeliło od siebie — i t. d."

Pewnie dosyć już, aby dojrzeć w tem zwierciadle przyszłość naszej literatury. Gydby żył Trembecki, możeby jeszcze napisał:

„W imię Ojca i Syna i świętego Ducha,
„Niechże ich kto zrozumie i czyta i słucha.“

WŁADYSŁAW KORYCKI.

Humor Słowackiego.

(Ciąg dalszy).

W stanie królewskim nie zapomina Grabiec o sprawach gospodarczych:

„Mój błaźnie, niech pieczomistrze
Przynoszą nowe danie“

SKIERKA: „Już kuchta zamkowy
Nie ma nic na półmisek
Prócz cielęcej głowy,
Lecz ta, niedopieczona, na królewskim karku...“

GRABIEC: „Widziałem dwa chodzące pawie na folwarku,
Upiec i dać na stół, ja poczekam na nie“.

Zabiera z tacy złotniki. mówiąc:

„Sobie także za ciężkie płacę panowanie“,

Nie zaniedbuje także zabawy i daje w tym względzie wskazówki:

„Więc ty ministrze,
Weź moje berło wierzbowe i na niem
Graj jak na dudzie—a zatykaj bystrze
Dziurki palcami, jeśli pomysł nowy,
Dążący prosto ku uszczęśliwieniu
Przyszłych poddanych wymknie ci się z głowy
Przez głupie wrota“.

Wogóle Grabiec jest-to kuzynek Zagłoby i Ślaza—nieodrodny. W mistycznej swej fazie powiedział Słowacki: — „Nic dla celu materyalnego nie istnieje... zniknie kiedyś samo słowo: „*natura*“. Więc chociaż wieszcz nasz dobrze wyczuwał i szmer materyi i pogwar życia, w postaciach Grabca i Ślaza zadrwił z natury i ciała, a obnażając jego niskość, obłudę i nikczemność, przeszył je czerwonym piorunem śmiechu. I zaiste była-by szkoda, gdyby wraz z *naturą* zginąć miały te cudne perły humoru, jakie wieszcz zawarł w kreaturach Grabca i Ślaza.

A jeżeliby ziemia naprawdę zginąć miała i w tej katastrofie przedostały się dzieła Słowackiego na inną planetę, to może uczony z Neptuna lub Marsa, odcyfrowawszy postacie Grabca i Ślaza, zdefiniowałby je jako:—Ziemian, synów ziemi, nieznających rozterek wewnętrznych ani walk ciała z duchem... Powinien by jednak odcyfrować ostrożnie ten dynamit humoru, bo mógłby pęknąć ze śmiechu...

A Słowacki nie lubił brać na siebie winy, jak to określił w „Szwajcaryi“: „Nie jam był winien, lecz lilia winna“...

Nasz wieszcz śmiać się nie lubił, raczej płakał śmiechem, mowiąc:

„Choć mi serce pęka
Śmiech mię bierze...“

W tej metafizycznej humorystyce i parafrazie przeznaczenia świata, tudzież powątpiewaniu w jego tragiczny koniec, ani się spodziewamy kiedy stajemy już to na stanowisku Grabca, któremu nie podobały się Goplany rozwiewne i zapachy róż, jużto na stanowisku Ślaza, który w obronie celów ziemskich spalił celę św. Gwalberta.

Extremitates conjungunt. Przejdźmy więc teraz do tego ostatniego, bohatera spraw ciała przeciw tłoczącemu je tyranowi-duchowi.

Ślaz — to jakby odmiana Sancho-Panchy, a i św. Gwalbert, pan jego, ma coś z Don Quichota. Tylko że Sancho Pancho był wierniejszym sługą

ŚLAZ. „Domine, z czego proszę, są promienie,
Które ty nosisz na głowie?“
Św. GWALBERT. „Są ze mnie...
Z mojej, wnętrznej władzy...“
ŚLAZ. „Myślałem, że te promieniste koła są z włosów“.

Ślaz ma niskie instynkty, jest to gruba natura, a czasem i filut nielada. Sancho-Pancho opromieniony był ślepą miłością do swego pana, Ślaz jest bezwzględny w swym egoizmie. Porzuca służbę u św. Gwalberta, bo mu żywienie się korzonkami nie trafia do gustu. Chce użyć życia, bo że „człowiek się raz rodzi, i raz umiera“—to jego przewodnia zasada.

„Ergo nogi za pas i w świat jasny!
A zrób intencyę z czystości—a na co?
A jak się w tobie zakocha królewna,
A ty w czystości, jak w błocie po uszy“

Chciałby on znaleść coś niepotrzebnego i z tego zrobić *votum* Panu Bogu, aby mu trochę sprzyjał na początku. Robi więc votum z... przywiązania do swego pana, jako z czegoś najmniej potrzebnego. Z łatwością potrafi zagłuszyć swoje sumienie w razach wątpliwych. Dobija rannego na polu bitwy, zwleka zeń zbroję i tak się tłómaczy z swego postępku:

„Gdzież jest w przykazaniach Boskich: nie dobijaj?“

W tych deliberacyach, jak i w całym konturze duchowym widzimy jakby model i szkic na Pana Zagłobę. Jak i ten ostatni, używa Ślaz czasem arcydowcipnych fortelów i sztuczek dla wybrnięcia z trudnej sytuacyi.

Wobec Lecha i wrogów chodzi w zaczarowanym hełmie, który nim kieruje. Mówi, że go tak wiedźma zaczarowała, iż ma teraz taki bociani, długi nos wychudły...

Grubą zmysłowość Ślaza wykazuje następująca rozmowa jego z św. Gwalbertem.

Gdy św. Gwalbert opowiada mu o tęczach i gwiazdach, Ślaz pyta go dlaczego nie nabrał tych gwiazd do kieszeni; mógłby mu teraz zapłacić jako odźwiernemu.

Gdy zaś św. Gwalbert opowiada mu o nim samym, a nie poznając go, mówi o nim, że Ślaz był u niego sługą.. istny djabeł... i poprawia się:

„...Był na djabła za głupi...“

Ślaz pomrukuje na stronie:

„Wolałbym, żeby się trzymał był o mnie
Pierwszej opinii...“

Kiedy św. Gwalbert prosi Ślaza o zbudzenie Lecha,—Ślaz się wymawia niebezpieczeństwem śmierci, a gdy św. Gwalbert obiecuje mu za to nagrodę w niebie Ślaz pyta, czy mu oddadzą głowę w niebie.

Św. Gwalbert przytacza mu słowa Chrystusa:

„Ktoby stracił dla mnie duszę, to duszę swą odzyska.“

ŚLAZ. „Ale nic Chrystus nie mówi o głowie?“

Św. GWALBERT. „Głowa jest niczem,
Gdy chodzi o duszę“

ŚLAZ. „Kiedy nic Chrystus nie mówi o głowie,
To dla mnie wcale nie ma bezpieczeństwa,
Ja wolę głowę, niż duszę.“

Przy swojej filuteryi i zręczności wydobycia się z trudnych oppresyj, niema Ślaz tych choćby rzadkich, ale ofiarniczych, wzniosłych i bohaterskich popędów Zagłoby.

Swoją charakterystykę przedstawia nam Ślaz w następujący sposób:

„Moja nieboszczka matula mówiła,
Że kłamstwem wyjdę na pana—to kłamstwo,
Co mi matula mówiła o kłamstwie—
Ergo—jeżeli więc mówiła kłamstwo,
Powinna była zrobić tem fortunę.—
Umarła gola, jak Lazarus...
Już próbowałem rycerskiego chleba,
Już próbowałem chrześcijańskiej paszy
I zawsze chudy, jak Słomka...
Pan Ślaz niech rusza prosto do Wenedów.
Jam szpieg—fuj... nie, lecz nowiniarz“

I tu zatem swoje niskie funkcje potrafił Ślaz ubrać w blaski i oszukać swoje sumienie.

Ślaz to jeszcze natura pogańska, a chociaż zlekka pokostowana już chrystyanizmem, stojąca poza nim i poza rycerskością. Oświata i cywilizacja przyjmuje się na nim slabo, wykrzywia się w sposób groteskowy. Jest to u Słowackiego genialne poprzez mgłę wieków widzenia twórcze jowialisty i pohańca rodzimego z pierwszych czasów chrześcijaństwa w Polsce. Jest to jakby Zagłoba tamtoczesny, bo sienkiewiczowski Zagłoba ma już sporo rycerskości i chrystyanizmu. Ale jest to już robota czasu, co znaczy, że, gdyby Zaglobę przesunąć w odleglejsze wieki, byłby Ślazem.

Ślaz umie zręcznie wyzyskać okoliczności i sam się powołać do godności dostojeństw. Ma wtedy coś z Zagłoby, kiedy ten został regimentarzem.

„Jeśli potrzeba wodza będę wodzem
Jeśli tygrysa -- adsum;
Jeśli Ganimedą — zgoda!“

Jest w Ślazie i instynkt wierności, ale przygluszony tylko tchórzostwem i egoizmem. Gdy św. Gwalbert ratuje go od utonięcia w błocie, Ślaz, jak Sancho-Pancho za Don Quichotem, podąża teraz za świętym ze słowami:

„Teraz do śmierci będę księżym slugą.“

Ale gdyby kto spytał wtedy Ślaza, czy dlugo wytrzyma w tej wierności i znowu w błoto nie wpadnie, odpowiedziałby na to jak niejeden współczesny, prawowierny chrześcijanin: — A od czegóż są święci, jak nie od tego, aby nas z błota ratowali?

Ze Ślazem spotykamy się jeszcze we fragmenuie dramatycznym: „Krakus“. Zmieniony tam, ale prawie ten sam. Wspomina św. Gwalberta. Jest poważny, żarty i błazeństwa gdzieś pogubił, uczy królewiczów. Trzyma się względnie

dostojnie na zaszczytnem stanowisku, niby Zagłoba gdy został regimentarzem. Wogóle zmienił ton i zachowanie — może z racyi że: *honores mutant mores*. Tylko czy gdyby po za tym fragmentem był ciąg dalszy nastąpił, nie wyszedł by z niego... osioł z lwiej skóry? Niewiadomo. Dziwna to w każdym razie transformacya.

A może Słowacki wierzył, że i tacy, jak Ślaz, zrzucą kiedyś grubą skorupę i że nawet takich kiedyś duch oskrzydli i uniesie z granic natury i materyi. I może dlatego poeta „kąsał sercem", smagał „czereg rubaszny" szyderstwem i śmiechem, aby właśnie pobudzić naród do wyjścia z siebie i wstąpienia w szeregi „ludzi silnych, na których nastał czas" w „Anhellim". Wszakże Zagłoba traci z czasem grubą skorupę, a i Reja przykład był realny...

Słowacki nienawidzi całą duszą, nienawidzi gorąco i namiętnie wszelkiej małości i zła, ale kto wyjdzie z nich zwycięsko, tego otacza on miłością i przebaczeniem.

Jak Mickiewicz, Sienkiewicz i Prus.. kocha on tę śmieszną swoją dziatwę, kocha przez nienawiść przetwarzającą... I mówi sobie, że chociaż dziatwa ta nie wdała się jeszcze w Kirkorów i Anhellich, to jednak może ją *oni* właśnie podniosą ku gwiezdnym wyżynom.

Wszak i Zagłoba był przyjacielem Skrzetuskich i Wołodyjowskich.

(Dok. nast.).

STEFAN GACKI.

„Wieża z kości słoniowej".

(Powieść Tadeusza Jaroszyńskiego).

Pan Jaroszyński umie z talentem opowiadać tajemnice Pawełkowa, jest najciekawszym biesiadnikiem na ucztach weselnych i zebraniach towarzyskich, które tam się odbywają, bo z wdziękiem prawdziwego humoru umie on podkreślać śmiesznostki i przywary notablów Pawełkowa, zna ich giesty i ruchy i zwyczaje. Dlatego też obrazki z życia drobno mieszczańskiego, które rysuje, nie mogą wprawdzie rościć sobie praw do miana satyr wysokiego gatunku, są raczej nowelami, jak je autor nazywa, ale posiadają swą wartość. Są barwne i żywe. Przemawiają do czytelnika przez tkwiącą w nich prawdę życiową.

Oko jednak ma też swe nawyknienia i przyzwyczaiwszy się do pewnego kąta patrzenia, tych samych już ciągle szuka plam i linij, te same zabarwienia nadaje cieniom i światłom: jednemu w kształt o greckiej linji układa się najdrobniejszy szczegół życia; inny widzi go w wyolbrzymieniu dantejskiej wizji, inny wreszcie patrzy nań *cum grano salis* i w jej kryształkach nie łzy odkrywa, ale filuternie lub złośliwie uśmiechnięte chochliki, spogląda na wszystko, jakgdyby przez wygięte lustra i w karykaturalnym odbiciu widzi przedmioty i ludzi.

P. Jaroszyński patrzy na świat ze złośliwym uśmiechem, jest najmocniejszy w ironji i, powiedzmy to odrazu, w najnowszym swym utworze tam tylko jest sobą, gdzie puszcza wodze swym skłonnościom, i ironizuje uczucia i ludzi, daje karykatury z warszawskiego świata literackiego, pastwi się nad przedstawicielami naszej oficjalnej krytyki, zapominając zresztą, że sam z powodzeniem bawi się tą sztuką. Wszystkie te postacie, choć może zbyt przejrzyste, zbyt niewolniczo kopjowane

z modeli, są jednak trafne i posiadają charakter, a taki np. Ratajewski, dyrektor ogródkowego teatru, wysuwa się w powieści na pierwszy plan nie przez rolę, którą w niej odgrywa, ale przez wyrazistość, z jaką naszkicował go autor.

Inaczej rzecz się przedstawia, gdy p. Jaroszyński chce rzeźbić w rozpalonej lawie uczuć, gdy szuka wysokich nut, które mają wyrażać potężne napięcia duszy. Zda się, że twarz nie chce mu się wtedy złożyć w nastrojowy wyraz. Jego zlekka drwiący uśmiech jakby zastygł wtedy na niej i trwa. Wygięte lustro nie chce się wyprostować. Napróżno autor spiętrza wokół niezwykle tragiczne zdarzenia, brnie w sytuacje, przy których dech powinienby zamierać, to znów robi ciszę, szykując się do skoku. Muzyka przestaje grać—ale wielki efekt nie udaje się i czytelnik pozostaje chłodny na bóle bohatera powieści.

Tam jednak, gdzie p. Jaroszyński traktuje swego bohatera z ironją, postać ta przebłyskuje pozorami prawdy i życia, szkoda więc, że autor nie unieruchomił tego punktu swego patrzenia, gdyż byłby dał postać pełną i żywą, a modeli nie zabrakło by u nas. Ale p. Jaroszyński staje chwilami po stronie swego bohatera, zdaje się sam unosić jego wybuchami, a obraz mgli się wtedy i roztapia w czczej frazeologji. To samo dało by się powiedzieć o innej postaci, z której autor chciał zrobić portret wolny od wszelkiej karykaturalności. P. Jaroszyński chciał przenieść do literatury naszej modny obecnie w powieściach francuskich typ bogacza-kollekcjonisty, magnata rozkochanego w pięknych zabytkach przeszłości, feudała mieszkającego w szczelnie zamkniętym pałacu i otoczonego „wydresowaną“ służbą.

Jego Radost zbiera dzieła sztuki i rozprawia o nich często, ale ze słów jego widać, że p. Jaroszyński zna wiele ładnych rzeczy, lecz zna je z książek, ze studjów, a nie z bezpośredniego obcowania z niemi, to też p. Radost mówi ze znajomością rzeczy, lecz sucho jak profesor na wykładzie, a nie jak amator przejęty miłością do swych skarbów.

Gdy się porównywa „Wieżę z kości słoniowej“ z innymi utworami p. Jaroszyńskiego, ma się ochotę przypuszczać, że była ona jedną z pierwszych jego prób literackich i przez długi czas spoczywała w tece autorskiej, aż kiedyś w przystępie wspaniałomyślności została odszukana, odświeżona, spreparowana do druku. Uważne oko znajdzie w niej wszystkie czynniki talentu p. Jaroszyńskiego, ale jakgdyby w stanie zaczątków. Wszystko tu bowiem walczy jeszcze z przypadłościami chorób wczesnego dzieciństwa, z ząbkowaniem, zrastaniem się, prostowaniem i twardnieniem rachitycznych nieco kości.

WINCENTY RZYMOWSKI.

Zofja Rygier-Nalkowska.

(Dokończenie). (W powieści „Rówieśnice“).

Owa atoli ograniczoność i jakby „widmowość horyzontu“, zamkniętego w „Rówieśnicach“, pochodzi nie z wyczerpania sił twórczych, jeno z przerostu centrów otamowawczych świadomej siebie kultury. P. Rygier-Nalkowska pojmuje kulturę przedewszystkiem, jako umiejętność restrykcji, wyboru, redukowań i zastrzeżeń. I w istocie, na dnie pojęć kultury, równie jak w pojęciach czuwającego nad swą

godnością arystokratyzmu, tkwi niewątpliwy pierwiastek zaprzeczenia; najwybitniej manifestuje się kultura w owem wyniosłem „Veto!“, które przeciwstawia dzikim rozmachom żywiołu. Ostatecznym rezultatem jej dążeń byłoby bezwzględne wyrównanie szczytów i przepaści. Wszelki czyn potężny bywa odruchem pierwotnym. Kolumny heroizmu i poświęceń wspierają się nie o samowiedzę i trzeźwość patrzenia, ale o ślepy fanatyzm. Kultura sił nowych w przyrodzie nie przysparza; poskramia tylko istniejące, rzeźbiąc w nich kształty coraz nowe, a przedewszystkiem ujarzmia je, obcina, przykrawa, wiąże i okuwa. Dzieje kultury są dziejami kiełzania instynktów. Zamachy czynów niebosiężnych przekazała nam już mitologja ludów barbarzyńskich; myśli głębokie i wzruszenia strzeliste rodziły się także w mrokach średniowiecza, ale wykwintność smaku, krągłość gestu, czucie nadobnej formy — rozkwitły dopiero na schyłku przedostatniego stulecia, jako czynnik zadowoleń odrębnych. Otóż, przyznać musimy, iż pomysły artystyczne p. Rygier-Nalkowskiej kwitną i dojrzewają w regjonach najwyższej, w ten sposób pojmowanej, kultury. Gdyby więc autorka, protestując przeciwko uroszczeniom hierofantów idei, rzekła, iż ma istotne prawo uśmiechać się pobłażliwie wobec wszelkich ołtarzy, stawionych postulatom życia, to byłby to argument może nie całkiem skuteczny, ale z jej stanowiska zupełnie zrozumiały. Nie chce ona sięgać okiem po za skraj doraźnego widzenia. Przyroda dla niej w swej grozie wiecznie obojętnej nie istnieje. Jak widać z opisu burzy letniej, zawartego w niniejszej powieści, p. Rygier-Nalkowska nigdy snać, jak mówi Słowacki, nie odczuła Boga „w natury przestrachu“. Nie istnieje też dla niej krajobraz, jako harfa dla najskrytszych, najdalszych, najtajniejszych melodji duszy. Pejzaż odtwarza po mistrzowsku ten, kto umie z przedmiotu na przedmiot błądzić oczyma dla samej rozkoszy błądzenia; tymczasem dusza autorki „Kobiet“ spogląda na świat wzrokiem geometrycznie i surowo badawczym, jakby egzaminując każde zjawisko z jego praw do egzystowania. Zbyt jaskrawa analiza i zbyt mocne natężenie światła, w którem żyje i obraca się myśl twórcza, zdają się trwożyć i odtrącać płochliwe duchy leśnych poszumów i zadumań polnych, równie jak światłokręg pochodni odgania srebrny blask księżyca.

Wyobraźnia p. Rygier-Nałkowskiej jest jak przysłowiowe imperjum Karola V: nigdy w niej słońce nie zachodzi; nigdy w jej myślach bezsennych nie zapada noc, wiodąca chóry tęsknot szalonych a nieprzepartych. Tem się tłomaczy dziwna okoliczność, że cały pewien obszar wrażeń, doświadczeń i wzruszeń pozostaje dla niej niedostępny i zamknięty na zawsze; niestety na obszarze owym ukryte są właśnie wszystkie źródła życia i dymią wszystkie wulkany uczuć; tam odbywają się misterja potęg elementarnych, wiekuiste obrzędy zaślubin życia ze śmiercią, tam chronią się zagadki nieśmiertelne narodzin i zgonów. Wszystko to są dziwy i cuda, do których granicy talent p. R.-Nałkowskiej nie dociera.

Przeto też dzieła jej wydają się jakby zawieszone w próżni i oblane dokoła nicością; nie znać w nich tej troski o *całkowitość* życia, która, nakształt pobudki bojowej, wiodła serce Orzeszkowej skroś ognie walk i tryumfy. Zyskuje na tem niezmiernie dużo samodzielność układu oraz wyrazistość i konkretność rysunku, ale traci o wiele więcej w ujęciu szerokość i głębia tematu. Dzięki temu również utwory p. Rygier-Nalkowskiej potrafią zainteresować każdego, ale wzruszyć i wstrząsnąć nikogo nie zdołają. Owe „zaciskania łapek“, owe „delikatne ukłucia w brzegach powiek“, owe „*repoussoir'y* z czarnego aksamitu“, owe niezrozumienia i zatargi na otomance kojone, zagadki ‚wszechbytu, rozstrzygane przy konfiturach,—wszystko to jest bardzo miłe oraz... wysoce interesujące, niewątpliwie, ale...

Natomiast szczerym podziwem przejął mnie artyzm stylu, niepokalana godność mowy, która na kartach „Rówieśnic“ mieni się, spiętrza i gnie, jak pierś różanej fali o świcie. Jest to styl możnowładny, pełny, szeroko rozlewny, i nakształt komet iskrzących, pozostawia drogi świetliste poza sobą w oczach olśnionych i w oczarowanej pamięci. Obok prozy Żeromskiego i stylizacji Reymonta, stanowi on ciekawą formację w pokładach świeżo narastających polszczyzny. Nie idzie on grzmotem podziemnym skroś duszę, jak natchnione słowo Żeromskiego; ani kapie od słońca, miodu, żywicy, mleka i rosy porannej, jak realizująca sen ziemi obiecanej, mowa Reymonta. Styl p. Rygier-Nalkowskiej zdaje się nie tykać powierzchni gruntu i przelewać się, jak światło, igrając w powietrzu; obdarzony jest szybkością lotu niezrównaną: najbłahszą myśl-życzenie gotów zanieść aż na krańce świata: a przytem nie zdradzi, nie zatai i nie stępi w sobie żadnego uczucia, żadnego wrażenia: niekiedy stawia je tuż przed źrenicą czytelnika, w przeraźliwej i komicznej oczywistości szczegółów, kiedyindziej znów przesłania je czarowną, płynną mgłą, gubiąc w błękicie zawrotnych oddaleń. Równie jak Żeromski, p. Rygier-Nalkowska transponuje konsekwentnie najmigotliwsze przeżycia wewnętrzne na plastykę trzech wymiarów, tworząc jakąś swoiście zmaterjalizowaną „topografję“ duszy, świadczącą o wysokiem napięciu, sięgającej po nad siebie samą, świadomości własnych sił i środków artystycznych.

Na domiar tego słowo i styl p. Rygier-Nałkowskiej posiada jeszcze magję dziwnej władzy: zamienia przez dotknięcie rzecz każdą w kwiat albo w perłę. Jest to władza królewska, znamionująca wszechmoc, groźną dla samej siebie, lecz upajającą mocniej od sławy i niebezpieczniej od szczęścia. Wróży ona młodym talentom nietylko potęgę lotu i piękną linję marzeń o „nieziszczeniach życia“, ale zarazem i śmierć cudną, aczkolwiek nazbyt rychłą: śmierć wonną pod kwiatami: śmiercią taką niespełna przed kilku laty zginął niepostrzeżenie młody i wielki talent Leopolda Staffa.

MIECZYSŁAW STERLING.

„Bazylissa Teofanu“ Tadeusza Micińskiego.

(Dokończenie).

Zrodziła się w niej bujna tęsknota ku mrocznym morzom północnym, ku tym narodom niezepsutym jeszcze niemocą wierzenia, ku barbarzyństwu, które przyjść miało, by odbudować padające w rozkładzie starych kultur Byzancyum.

I wdarł się naonczas na zamek przebiegły i mocny kniaź rossów i zażądał Teofanu modlitwą i groźbą...

„Chcesz bym Tobie służyła? Okaż mi Twojego Wolnego Człowieka“— brzmiała dumna odpowiedź Bazylissy.

Ale Człowieka Wolnego kniaź rossów nie mógł jej okazać w sobie. Więc załamało się sklepienie nadziei po nad Bazylissą. W tragicznem przeczuciu niemocy poraz ostatni mówi do miasta ojczystego. „Słuchaj miasto! niosę Ci światło głębin, rozlewam miłość swoją: Jestem Tajemnica. Modlić się w klasztorze i umrzeć za Was choćby na Golgocie — mogłabym, lecz chcę Was zbawić — jednem zaklęciem Wiedzy z dna przepaści nieszczęścia mego wydobytem“. I oto jak-

gdyby pod zaklęciem tych słów ostatecznego zwątpienia budzi się wtedy wódz, który kiedyś krzyżem się zasłaniał i w ekstatycznem zdumieniu nad własnem odstępstwem, woła: „dłoń daję Ci na wieki Oblubienico światła—Teofanu!“

Ale nie cofa to tragizmu niespełnienia. Bo oto wyrok padł na wodza... I daremnie ogłasza się Nikefor Rycerzem Niewiadomego, daremnie w tańcu czterdziestu bram wytępia Teofanu tych, którzy grozili śmiercią „Jedynemu Człowiekowi“, jedynemu z pośród wszystkich, którzy choćby w marzeniu posiedli owoc jej ciała, a z nim rąbek tajemnicy.

Smierć wodza-odstępcy pozbawia ją ostatniej nadziei wydania kwiatu w jej głębiach zaklętego...

I cicha, smutna nuta kończy jej pieśń miłości do ziemi: „Jestem sama. Oto jedyna prawda: Jaźń w pustyni kuszona przez Nicość“.

Złamana w beznadziei odnalezienia, ulega Teofanu innej wyższej sile, sile kościoła, która burzy w niej wszelką spólnotę z Ziemią, a nawet to, co w niej było z człowieka szlachetnego, z kobiety i matki...

I tak za progiem kościelnego klasztoru na zawsze ginie dla człowieka nie rozwiązana Tajemnica radości i życia.

. . . .

Nietylko jednak głęboka, przez prawdę w niej zawartą, interkosmiczna myśl autora kładzie piętno odrębności na to dzieło. Wartość dramatu pogłębia tragizm jego. Tragizm nie polegający na jakimś wewnętrznym kataklizmie (przełamaniu) czy t. zw. konflikcie dramatycznym, lecz na wiecznej, jakgdyby przez fatum narzuconej ludziom konieczności „nieodgadnienia“. Tragizm. zawierający w sobie ów pierwiastek prawdy, iż człowiek jest *tylko* człowiekiem, więc czemś podwładnem i bezwolnem, bo poddanem wyrokom siły nieznanej i niepoznawalnej...

Oparty na fakcie historycznym z życia Byzancyum X wieku dramat Micińskiego, po za ideą, zawiera wiele cennych scen żywo oddanego charakteru epoki. Szkoda tylko, że w przepysznej ornamentyce dramatu, w bogactwie jego obrazów, słów i porównań gubi się istotny tragizm uczucia i zatraca się możność przebicia jasnej drogi poznania poprzez głębię myślową autora...

Lecz jeśli idąc wśród turni i wirchów jego myśli ominie kto wyboje, a jednak do innego niż autor przybije celu,—to niechaj usprawiedliwieniem mu będą słowa Micińskiego: „przyznajmy duszy to, że jej inna zrozumieć nie może“.

PRZEDRUKI LUŹNYCH ZDAŃ.

BEZ KOMENTARZY.

„Sfinks“—Tom VI—Maj i Czerwiec, Rok 1909.

W studjum p. t. *„Matejko“* pisze **Jan Kleczyński**:

Strona 275-ta:

„często najpotężniejsze hasła, uczucia, myśli stawały się śmieszne—i nawet wstrętne, bo chwytały je miernoty talentu“

Strona 278-ma:

„synteza duszy, nad którą można z niezmierną uciechą koziołkować po błazeńsku, jest rzeczą dla artysty zupełnie zrozumiałą — rozumie się nie dla takiego artysty, który zadawalnia się fabrykacją kiczów portretowych czy powieściowych."

„Sfinks" — Tom VII. — Lipiec i Sierpień, Rok 1909.

W swej literacko-twórczej pracy p. t. „*Marzanna*", poświęconej Stanisławowi Przybyszewskiemu, pisze **Jan Kleczyński**:

Stroua 41-a.

„Książe leżał w ponurym, purpurowym żarze. Mokre od potu ciało jego tonęło w miękich, rozprażonych upałem futrach."
„Zaledwie, że mógł oddychać w duszących wyziewach futer."
„Paliły go, bolały te purpurowe blaski,"

Strona 42-ga.

„te węże,"
„padają mlaszcząco na twardą, ubitą ziemię, wtulają się podstępnie w jego miękie futra"
„grzęzną w piekącej masie kleistej, której ma pełną czaszkę... Zalepia mu to oczy i uszy..."
„— i oto książe widzi nad sobą ogromne sklepienie purpurowe,"

Strona 43-cia.

„Czyżby te ślizkie węże skakały tak wysoko?.."
„on leży w swoim namiocie purpurowym,"
„On wie, że te purpurowe blaski można sobie doskonale inaczej wytłómaczyć."
„Czuje pod ręką rozgrzane posłanie miękich futer,"
„Nie, to już chyba naprawdę obłęd na niego idzie. Przecież tu niema nikogo tylko on sam, sam, jedyny, książę-król w purpurze,"

Strona 44-ta.

„Zadrżał... nie... to dusza mu tylko zadrżała"
„I probuje oderwać rękę od futra, ale tak ciężko"
„Nie, nic nie pamięta, co myślał przed chwilą. A to było takie ważne, takie cudne..."

Strona 45-ta.

„Dziwne to purpurowe powietrze."
„Coś straszliwego majaczy mu w głowie... w tej mętnej purpurowej ciemni..."
„Podziemia purpurowe..."
„i biegnie, biegnie—zlany potem—"

Stsona 46-ta:

„Tak, tak.. te blaski miedziane... te ściany purpurowe"
„A tutaj te dziwne ściany purpurowe..."
„Całe ciało mu płonie, obolałe, spocone."
„odzienie mu ciąży, lepi się,"

Strona 47-ma:

„Czy źle wyprawione skóry? Zupełnie jakby tłuszcze rozlały się na żarzące węgle i dymią, odurzają aż do mdłości. Przy każdym oddechu trzeba pochłaniać te wstrętne wonie i dławić się z obrzydzenia,"

Strona 48-ma:

„I oto mocuje się książe resztkami sił z senną niemocą, aż mu pot spływa

zimnemi strugami po czole i wreszcie, dysząc ciężko, odrywa boleśnie od oczu omdlałe powieki, piekącym klejem zawarte."

Strona 49-ta:

„Toć to jego namiot purpurowy,"
„a tam za tem purpurowem piekłem,"
„śmiał się, aż mu w bólu klującym skręcały się jelita—"

Strona 50-ta:

„— Umrzesz.., umrzesz... i twoi wsiąkną w ziemię..."
„i państwo twoje stratują dzikie hordy... i one także zgniją..."
„i znów zaświszczało szeptanie coraz silniej, coraz dźwięczniej — nieprzytomne chałchanie, bulgocące a twarde."

Strona 51-a:

„Był sam... sam—w tych duszących podziemiach... w tych purpurowych katakombach..."

Strona 52-ga:

„Pot oblewał mu czoło strumieniami."
„To słońce rzuca na rozpaloną purpurę namiotu cienie drzew,"

Strona 53-cia:

„Jak te purpurowe światełka migocą mu przed oczyma.. "
„A cała jego biedna skołatana głowa staje się dziwnie wielką, zanurza się w jakimś kleistym ciężkim, purpurowym mroku,"
„Jakie to piękne desenie układają się z tych ognistych plam światła, skaczących po purpurze..."
„który przeżarły piekielne, purpurowe ognie..."
„aż pod sam szczyt olbrzymiej kopuły purpurowej—"

Strona 55-ta:

„Płyną mu w żyły płomienie coraz bardziej palące, płyną ze ścian purpurowych"
„znika i nagle, płonący purpurą wylania się"

Strona 56-ta:

„A tu namiot, purpura pali,"

Strona 59-ta:

„A te krwawe światełka, na purpurze skaczące,"
„Ach, czemuż on już zapomniał, co wiedział przed chwilą.. to było takie potężne, takie olbrzymie..."
„— i wszystko to spływa krwawym śniegiem na księcia, czepia mu się ubrania, jak błyszczące robactwo, a gdzieniegdzie wyraźnie już widać dymiące płomyki, jak pożerają miękkie futra niedźwiedzie i wybuchają łodygami płomieni aż pod samą purpurową kopułę namiotu."

Strona 60-ta:

„całe ciało spływa gorącym potem,"
„wstrętny dym ze skwierczących na rozpalonych węglach skór i tłuszczów gryzie mu oczy, wchodzi mu w gardło, w nozdrza..."
„rude płomienie liżą te ściany purpurowe bez szkody dla nich"
„poza tą purpurową ścianą,"

Strona 61-a:

„A potem odbił się na purpurowej ścianie wyraźnie cień jakiejś brodatej, jak z kamienia wykutej głowy,"
„A cień przemknął się cicho po purpurowym jedwabiu i zniknął,"

Strona 62-ga:

„Mają go za warjata. Opowiadają o nim bajki niesłychane..."
„Ciąg dalszy nastąpi."

WZMIANKI KRONIKARSKIE.

× Numer 40-ty warszawskiego „Tygodnika Illustrowanego“ z dnia 2-go b. m. przypomina, że „oto pół wieku już mija od chwili, gdy z pod tłoczni drukarskich typografii J. Ungra w Warszawie, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 389, wyszedł pierwszy poszyt *Tygodnika Illustrowanego*“. Jest to rzeczywiście „duży szmat kultury polskiej“, bo słusznie i bez reklamiarskiej zarozumiałości stwierdzić dziś może redakcja tego pisma, że kruszyli w niem pierwsze kopje szermierze pióra, których imiona zasłynąć wkrótce miały, jak Polska szeroka i długa, z Henrykiem Sienkiewiczem, Aleksandrem Świętochowskim i Elizą Orzeszkową na czele; że nie było w Polsce i niema pisarza znacznego talentem i zasługami, któryby płodami swego ducha nie zbogacił kart *Tygodnika*; że wreszcie największe arcydzieła naszej literatury ostatnich lat kilkudziesięciu siały blask swój z roczników tego pisma, że tam wytrzymały swoją ogniową próbę“.

W pierwszych dniach grudnia, jak zawiadamia redakcja, ukazać się ma wielki, w trójnasób powiększony numer „Tygodnika“, w którym „znajdzie się najszczegółowszy obraz półwiekowej pracy na polu kultury narodowej we wszystkich działach: społecznym, literackim, naukowym i artystycznym, wraz z historją pisma i jego kolei“.

Na dalszy rozwój podnosi „Tygodnik“ hasło, „które w testamencie swym duchowym pozostawił potomności poeta:

Bądź tym pokarmem, który serca żywi,
Bądź im tą siostrą, kiedy nieszczęśliwi,
A głosem męskim, gdy się w męstwie chwieją!
Tym, którzy z domu wygnani, bądź domem!
Tym, co nadzieję stracili - nadzieją!
A śpiącym trupio bądź przebudzeń gromem!“

× Pod kierunkiem artystycznym Grzegorza Fitelberga zorganizowana została orkiestra w sali „Filharmonii“ warszawskiej, złożona z członków dawniejszej orkiestry filharmonicznej oraz osób nowozaangażowanych. Orkiestra składa się z 75 muzyków. Pierwszym kapelmistrzem będzie p. Fitelberg, dzieląc czynności swe między pp. Henryka Opieńskiego i Adolfa Gużewskiego. Koncerty kameralne prowadzić będzie Henryk Melcer. Za jego inicjatywą i pod jego kierunkiem utworzony będzie chór koncertowy do wykonywania kapitalnych dzieł zbiorowych. Nadto powołani będą młodzi i najmłodsi kompozytorowie polscy do wprowadzenia kolejno bądź własnych, bądź cudzych utworów muzycznych.

Inauguracyjny koncert poświęcony był pamięci Zygmunta Noskowskiego, którego dzieła najwięcej wartościowe całkowicie wypełniły program.

W ciągu sezonu ma zamiar p. Fitelberg udać się z orkiestrą także i do Krakowa i Lwowa.

× Teatr Mały, którego trupa daje przedstawienia w małej sali Filharmonii, przeszedł w dniu dzisiejszym na własność i pod dyrekcyę znanego krytyka i komedjopisarza, p. Kazimierza Zalewskiego. Pragnie on,—aby scena ta była teatrem młodych, więc młodych artystów i młodych autorów. Wychodzący w Warszawie „Kurjer Polski“ w stałej rubryce p. t. „Kurjerek“ już we wrześniu wyraził obawę „czy teatr pod kierunkiem tego, kto ma go objąć po Gawalewiczu, nie będzie—kompromitował kinematografu?“ Kurjerkowa wzmianka ta wydała nam się jednak bardzo nietaktownym, ile że nieuzasadnionym jeszcze naówczas proroctwem zjadliwej politykomanii teatralnej.

× Dotychczasowy dyrektor teatru Małego p. Marjan Gawalewicz objąć miał z dniem 15 ym października r. b. stanowisko dramaturga i kierownika literackiego w teatrze lwowskim na miejsce Tadeusza Pawlikowskiego, który ustąpił z powodu nadwątlonego zdrowia.

Był to jednakże, jak się okazuje teraz, tylko „sprytny“ manewr taktyczny tamtejszego przedsiębiorcy teatralnego, p. Hellera, któremu lwowska rada miejska,

choć się opiera na fałszywych motywach „demoralizowania młodzieży“, słusznie zarzuca obniżenie artystycznego poziomu tej sceny.

× Na stanowisko dyrektora „Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych“ powołany został p. Stanisław Lentz. Odpowiadając natrętnemu „interwiewerowi“, który go nawiedził, mówi on:

„Mojem najgłębszem przekonaniem jest to, że każdy z moich przyszłych uczniów ma doskonale rysować i nauczyć się abecadła pierwej, niż pseudo-genialnego snobizmu...“

A dalej:

„Nic nie zrobiłem, powtarzam. Ale nie tracę nadziei. Jak się nauczę, może jeszcze co dobrego namaluję..“

Są to słowa, które zaiste zjednać powinny Lentzowi nietylko zaufanie i miłość, ale i głęboki szacunek tej młodej rzeszy artystycznej, którą zamierza prowadzić.

× Stanowisko dyrektora krakowskiego Towarzystwa Muzycznego i dyrygenta koncertów symfonicznych objął p. Feliks Nowowiejski, stale zamieszkały dotychczas w Berlinie.

Chce on, jak pisze „Tygodnik Illustrowany“, wchłonąć w siebie atmosferę Krakowa, atmosferę Polski. Chce poznać ducha polskiego, literaturę polską i poezyę. Spędziwszy całe życie na obczyźnie, nie mógł poznać Polski tak, jak tego zawsze pragnął. Bo kocha Polskę i tylko dla polskiej muzyki chce pracować.

× Teatr krakowski wystawił tragedję Hebbla p. t. „Judyta“ w przekładzie Karola Irzykowskiego i odniósł nowy wielki tryumf artystyczny. Judytą była pani Wysocka, Holofernesem—p. Sosnowski.

WZMIANKI BIBLIOGRAFICZNE.

× Otrzymaliśmy następujące książki:

Juljusz Słowacki *„Złota Czaszka“* — Fragment dramatu — Cena kop. 10. — *„Horsztyński“* —Dramat w pięciu aktach.—Cena kop. 20.—*„Beatryx Cenci“* — tragedya w pięciu aktach,—Cena kop. 20 —„Biblioteczka powszechna“ — Nakładem księgarni Kaźm. Idzikowskiego.—Warszawa. Nowy Swiat 21.—1909 i 1910.

„Przekłady klasyków rzymskich“—*„Juliusza Cezara—Pamiętniki o wojnie gallickiej“.—„P. Owidyusza—Metamorfozy“—„P. Wirgiliusza—Eneida“*—W zeszytach po kop. 8.—Nakładem księgarni Kaźm. Idzikowskiego.—Warszawa. 1910.

Mieczysław Srokowski.—*„Jak łza“* — Warszawa. 1910. — Nakładem księgarni Kaźm. Idzikowskiego.

Bol. Szczęsny Herbaczewski —*„Błędny rycerz“*—Warszawa 1910 — Nakładem księgarni Kaźm. Idzikowskiego.

B. Herbaczewski.—*Don Juan Moderne“*.—Krotochwila w 1-ym akcie—Warszawa 1910.—Nakładem księgarni Kaźm. Idzikowskiego.

PRENUMERATA w Warszawie łącznie z opłatą za odnoszenie do domu i na prowincji łącznie z opłatą za przesyłkę pocztową: rocznie 4 rb., kwartalnie 1 rb. Zagranicą dopłaca się za koszty przesyłki pocztowej.

OGŁOSZENIA płatne w 12 ratach miesięcznych, w cenie począwszy od 1 rb. miesięcznie za trzykrotne w ciągu roku ogłoszenie na 1/6 stronicy pisma. Za sześciokrotne w ciągu roku ogłoszenie na 1/6 stronicy pisma opłaca się po 2 rb. miesięcznie, za dziewięciokrotne—3 rb. miesięcznie it.d. Stałe ogłoszenia roczne wielkości 1/6 stronicy pisma począwszy od 8 rb. miesięcznie. Cena ogłoszeń na pierwszej stronie o 50 proc., zaś na ostatniej o 25 procent droższa.

Prenumeratę przyjmują wszystkie warszawskie i prowincjonalne księgarnie i agencje pism, zaś ogłoszenia — tylko administracja pisma z wyłączeniem pośrednictwa biur ogłoszeniowych i agentów.

Cena pojedyńczego numeru 20 kop.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: MARSZAŁKOWSKA 125.

Redaktor odpowiedzialny: Piotr Ambroziewicz. Wydawca: Józef Krobicki.

Druk Piotra Ambroziewicza, Warszawa, Warecka 5.